

---

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, a także w roczniku „My Sybiracy” wydawanym przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

\*

### **Waldemar Zenon Kiljanek\* – *Wspomnienia syberyjskie***

Byłem ofiarą eksodusu trwającego od 13 kwietnia 1940 r. do 6 czerwca 1946 r. Ponad sześć lat przetrwałem i wróciłem. Najbliżsi rodacy przekonali mnie, że powinienem przekazać do historycznego skarbca narodu wspomnienia z tego okresu.

Urodziłem się w [1928 r.] w Białymstoku. Do wybuchu II wojny światowej w 1939 r. żyłem bez trosk, w dostatku pod troskliwą opieką rodziców, a zwłaszcza pod czułym i fachowym okiem ojca, weterana I wojny światowej, jeńca obozu niemieckiego z lat 1917 – 1918, uczestnika wojny polsko-bolszewickiej z 1920 r. i kadrowego żołnierza 42 Pułku Piechoty<sup>1</sup> w Białymstoku. W okresie międzywojennym z ramienia tego pułku zajmował się szkoleniami paramilitarnymi i obronnymi m.in. w „Strzelcu”<sup>2</sup>. Zadaniem tych organizacji

---

\* Waldemar Zenon Kiljanek – urodził się w 22 października 1928 r. w Białymstoku. Jako dwunastoletni chłopiec podczas drugiej masowej wywózki został deportowany do Pawłodaru w Kazachstanie. Powrócił do Polski w 1946 r.

<sup>1</sup> Formacja została powołana pod koniec 1918 r. we Włoszech. Brała udział m.in. w wyprawie kijowskiej i bitwie warszawskiej. Pułk do 1922 r. stacjonował w Twierdzy Osowiec, a następnie w Białymstoku przy ulicy Traugutta 3.

<sup>2</sup> Organizacja ta powstała w 1910 r. w celu przygotowania młodzieży do walki zbrojnej. Jej członkowie zasilili Legiony Polskie, czy Polską Organizację Wojskową.

było wychowanie młodego pokolenia Polaków w duchu patriotycznym i wzmocnienie obronności kraju. Ja, młodszy wiekiem korzystałem z tego ciesząc się dobrym zdrowiem i sprawnością fizyczną. Poza tym posiadałem predyspozycje sportowca, kochałem sport. Ojciec w tym mnie wspierał.



Mali drhowie w mundurach, 1936 r.  
Ze zbiorów Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku.

II wojna światowa rozpoczęła się nagle. Koalicjanci nie dotrzymani warunków umowy już na początku II wojny światowej i w końcowej jej fazie, bo nie otrzymaliśmy we wrześniu od nich żadnej pomocy zbrojnej, a w końcu drugiej wojny światowej zdradzili nas nie wykonując warunków umowy.

Przed samym wybuchem II wojny światowej dawało się odczuć narastające napięcie. Z chwilą ogłoszenia mobilizacji ludność Białegostoku ochoczo

---

Po odzyskaniu niepodległości „Strzelec” zrzeszał pozaszkolną i przedpoborową młodzież, kontynuował tradycję w zakresie wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego.

przystąpiła do przygotowań obronnych. Pod kierunkiem harcmistrza Ryszarda Kaczorowskiego<sup>3</sup> brałem udział w takich pracach, w dużej grupie harcerskiej, na terenie miasta Białegostoku, w pracach pomocniczych w okresie trzeciej dekady miesiąca sierpnia podczas mobilizacji kraju. Wykonywałem czynności gońca, łącznika, a w 42 Pułku Piechoty dodatkowego, nadprogramowego, dostawcy zaprzęgiem konnym różnego sprzętu i umundurowania do koszar. Potem jeździłem rowerem z informacjami do pododdziałów pułku przebywających poza koszarami, na wschód od miasta. Byłem przy załadunku tego pułku, na stacji poleskiej<sup>4</sup> przed jego wyruszeniem na front i wyjazd na granicę, pod Prusy Wschodnie. Zespół harcerski, którego sztab mieścił się przy Szkole [Podstawowej] Nr 1, przy ulicy Ogrodowej i róg Pierackiego<sup>5</sup> wykonywał różne czynności porządkowe w trakcie walk o miasto.



Młodzieniec w mundurze harcerskim, 1939 r.  
Ze zbiorów Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku.

<sup>3</sup> Ryszard Kaczorowski (26 listopada 1919 – 10 kwietnia 2010) – harcerz, komendant chorągwi Szarych Szeregów w Białymstoku. Po zajęciu Białegostoku przez Armię Czerwoną tworzył Szare Szeregi. Był łącznikiem między Szarymi Szeregami a Komendantem Związku Walki Zbrojnej. W lipcu 1940 został aresztowany przez NKWD. Po studniowym pobycie w celi, karę śmierci sąd ZSRR zamienił na dziesięć lat łagrów. W ten sposób trafił na Kołymę. Po podpisaniu układu Sikorski-Majski, wstąpił do Armii Polskiej generała Władysława Andersa. Po wojnie emigrował do Wielkiej Brytanii. Był ostatnim prezydentem Rzeczypospolitej na uchodźstwie.

<sup>4</sup> Chodzi o Dworzec Kolejowy Białystok Fabryczny przy ulicy Towarowej.

<sup>5</sup> Przed wojną szkoła miała kilka lokalizacji: przy ulicy Sienkiewicza 61, Pałacowej 3, a od grudnia 1928 r. przy Pałacowej 4 jako 7-klasowa Publiczna Szkoła Powszechna im. Juliusza Słowackiego w Białymstoku.

Po wycofaniu się policji kierowałem ruchem ulicznym. Któregoś dnia, byłem na posterunku, koło stadionu miejskiego i cmentarza wojskowego<sup>6</sup>. Około dwudziestej godziny przekazałem dwóm starszym druhom ten posterunek. Za działania te, na wiosek harcmistrza Stanisława Moniuszki<sup>7</sup> po wojnie Ojczyzna nadała mi medal pamiątkowy „Za udział w wojnie obronnej 1939 r.”

W pierwszych dniach okupacji miasta, jechałem szosą z Wasilkowa i na gorze, przy wieży ciśnień natknąłem się na dużą kolumnę wojska niemieckiego, zmierzającą w kierunku Wasilkowa. Zatrzymałem się i przyglądałem stojąc na poboczu szosy bez żadnych kłopotów. Oceeniłem uzbrojenie piechoty, artylerii i nielicznej kawalerii oraz rowerzystów.

O godzinie szóstej rano, jechałem rowerem do mieszkania ciotecznej siostry przy ulicy Kraszewskiego i na ulicy Sienkiewicza u wylotu Warszawskiej spotkałem dziwną, nierozpoznaną mi grupę cywilów uzbrojonych w karabiny z czerwonymi opaskami na rękawach. Wracając po godzinie z powrotem do domu, inną trasą na przejeździe kolejowym ulicy Sienkiewicza i Wasilkowskiej zobaczyłem stojący czołg, a pod nim wystający pośladek w mundurze żołnierza. Ulica była raczej pusta. Zmieniłem ponownie kierunek powrotu do domu. Zatrzymałem się w połowie ulicy Sienkiewicza, przy Placu Wolności. W okolicy obecnego budynku Policji oglądałem wejście masy wojsk sowieckich zmotoryzowanych. Zewsząd dochodził specyficzny zapach benzyny.

Miasto w ciągu kilku dni zmieniło swój wygląd. Wzrósł ruch uliczny pieszy i kołowy. Olbrzymie portrety wywieszono na budynkach. Jacyś ludzie obserwowali z nich przechodniów. Pojawiły się kłopoty aprowizacyjne. Kolejki za wszystkim, a policjanci uczyli nas jak w nich się ustawiać. Młodzi Żydzi wykrzykiwali do nas aby zejść im z drogi, bo nasze się już skończyło. Rzeczywiście tak się stało. Do mieszkania mego, siłą dokwaterowali do dwóch pokoi rodziny uciekinierów żydowskich z Warszawy. Ci co zajmowali pokój stołowy, byli aktywistami, zwolennikami nowych władz. Nosili ulotki, plakaty. Nas, tzn. mamę, siostrę i mnie pozostawili w salonie i w kuchni.

Do sąsiadów wsadzono również dwóch milicjantów, też Żydów. Dom nasz był pod stałą obserwacją i kontrolą. Dzielnicowy, milicjant, Białorusin był częstym bywalcem w naszym domu. Nastąpiły ciężkie, trudne warunki życia. Obce, nieznanne porządki, bezprawie było nie do zaakceptowania. Niedoświadczona młodzież dawała temu wyraz. Czyniliśmy to nieroztropnie i z kłopotami np.: niszczyliśmy czerwone flagi.

W tym czasie rodziły się początki organizacji ruchu oporu. Wielu Polaków szukało kontaktu z moim ojcem. Wielu z nich walczyło jeszcze po wojnie w białostockich lasach. Mój ojciec został aresztowany 22 grudnia 1939 r. Stało się to tak. Wracał na święta z Radomia, do domu, po zmroku, w ubraniu cywilnym. Sąsiadka widząc go przez okno rozpoznała. Ponoć krzyknęła odruchowo: „O Boże, pan Kiljanek powrócił!”. Słyszac to sowieccy milicjanci, sublokatorzy, natychmiast powiadomili władze. Dom został otoczony, a po

<sup>6</sup> Przy ulicy 11 Listopada.

<sup>7</sup> Stanisław Moniuszko (25 stycznia 1905 –4 czerwca 1993). Od najmłodszych lat związany z ruchem skautowym i harcerskim. W skutek działań wojennych aresztowany, a następnie zwolniony wraz z pozostałymi harcerzami. Po wojnie odbudowywał strukturę ZHP w Białymstoku.

godzinie wyprowadzono z domu zaskoczonego ojca. Już go więcej nie zobaczyłem. Osadzony został w białostockim więzieniu, a w połowie lutego oświadczono mamie, że wybył z więzienia. Dokąd? „Nie znam”<sup>8</sup>.

13 kwietnia 1940 r. czytałem do późnych godzin. Gdy tylko zasnęliśmy, zostaliśmy rozbudzeni wejściem do pokoju żołnierzy sowieckich oraz dwóch cywilów. Oświadczyli oni, że wywożą nas sto kilometrów za Białystok i dają nam jedną godzinę na ubranie się i zabranie niezbędnych rzeczy. Nie byliśmy w stanie właściwie ocenić sytuację. Ubraliśmy się i nie zamierzając ze sobą nic zabierać, byliśmy gotowi do wyjścia, bo to przecież wyjazd na 100 km. Wówczas oni zmusili nas, a nawet sami przekonali do walizek i koców. Z szafy ładowali pościel, jedzenie, czajnik itp. Oficer przekonał mamę, że powinniśmy zabrać wszystko, co chcemy, byle by szybko: „Skariej. Skariej bieryj wsio prigadit’sja”<sup>9</sup>. Przyczym dokwaterowani Żydzi z obu pokoi obserwowali biernie całe zajście.

Załadowano nas do samochodu ciężarowego i zawieziono na stację osobową w Białymstoku. Zostaliśmy wrzuceni do wagonu towarowego, w którym po obu stronach były ułożone w dwóch poziomach deski – miejsca do jazdy i do spania. Na środku wagonu wycięta w podłodze była niewielka dziura służąca do załatwienia potrzeb fizjologicznych. Cztery okratowane okna były zakryte blachą. Drzwi od zewnątrz ryglowane. Do świtu dowożenie ludzi ukończono. Dwa razy nas spisywano. Było nas w wagonie 64 osoby. Wszystkie mi nie znane. Następnie duży zestaw wagonów odepchnięto i postawiono w okolicy tuneli. Nikomu nie pozwalano zbliżać się do nich były wagony obstawione uzbrojoną strażą wojskową. Obserwowałem to przez szczelinę w oknie. Wieczorem transport ruszył na wschód. Jechał wzdłuż ulicy Poleskiej. Widziałem własny dom i światła elektryczne paliły się we wszystkich oknach. Nawet w pomieszczeniach przez nas opuszczonych. Ponownie ten dom zobaczyłem po sześciu latach, w słoneczny poranek 6 czerwca 1946 r.

Jechaliśmy przez Rosję bez dłuższych postoi. Spożywaliśmy posiłki sporządzone z tego, co zabraliśmy z domu. Czasami wyprowadzano nas z wagonu po kilka osób pod nadzorem w celu pobrania na stacji wody gorącej tzw. „kpiatoku”. Wsadzony do bagażu czajnik okazał się bardzo przydatny. W drodze spotykaliśmy ludzi bardzo obojętnych na nasz los. Nawet młodzi ludzie zachowywali się nieprzyjaźnie. Wagony były zawsze zamknięte i pod ochroną uzbrojonych żołnierzy.

Bardzo interesowało nas dokąd nas wiozą. Zapytany na stacji kolejarz obserwujący transport rozglądając się bojaźliwie naokoło, przyłożył palec do ust i odpowiedział – „Na Sybir, na Syberię”. Innym razem słyszałem jak z jakiegoś powodu lamentująca kobieta powiedziała do żołnierza z nadzoru wagonu: „Lepiej już teraz zabijcie na miejscu. – „Pa szto t’iebjja ubiwať. Sama padochniesz”<sup>10</sup>. Po siedemnastu dniach podróży, stacją końcową okazał się Pawłodar. Miasto obwodowe republiki Kazachskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Znajdował się on o 2000 km od Gór Ural – granicy Europy z kontynentem azja-

<sup>8</sup> Tł. z jęz. ros.: Nie wiemy.

<sup>9</sup> Tł. z jęz. ros.: Szybciej. Szybciej bierz, wszystko się przyda.

<sup>10</sup> Tł. z jęz. ros.: Po co zabijać, sama zdechniesz.

tyckim. Następnego dnia bardzo dużą grupę Polaków zawieziono samochodem 40 kilometrów w głąb głuchego, pustego stepu do miejscowości Karikowka. Nic tam nie było oprócz dużej zbitej z desek szopy i domku – kantorku, biura ze studnią wody pitnej, z resztą, bardzo niesmacznej i złej. Z dała widoczna była kolejka, kolejowa rampa i duże zasolone jezioro z czynną kopalnią soli. Głusza, pustka bez żadnej komunikacji i łączności.

Całe sześć lat pobytu na tym terenie, na północ od Pawłodaru, aż do granicy okręgu, graniczącym z okręgiem omskim. Przebywałem w sześciu miejscowościach oddalonych od siebie o 60-80 kilometrów. Nie spotkałem na tym terenie żadnej zorganizowanej komunikacji publicznej. Nie widziałem żadnego autobusu lub samochodu osobowego. Widziałem na Irtyszu pływające statki raz dziennie tam i z powrotem. To były statki pasażerskie dużych rozmiarów. Kto z nich korzystał lub miał prawo korzystać – nie wiem. Często i nie regularnie pływały barki towarowe. Transport ładunków wykonywano furmankami oraz samochodami ciężarowymi, publicznie zwanymi „maszynami”. Kołchozy samochodów zwykle nie posiadały. Sowchozy – przeciwnie. Nie było szpitali, ani karettek pogotowia, nie było też lekarzy. Spotkałem 3 placówki pocztowe. Nie znam zasad ich organizacji pracy. Mogę stwierdzić, że korespondencja nadchodząca do adresata z dwu-trzy miesięcznym opóźnieniem nie robiła żadnego wrażenia. Pisma administracyjne różnych władz i polecenia kontrolne wysyłane były transportem konnym, bryczką, tzw. „traszpanką”, motocyklem z przyczepą lub ciężarówką. O łączności radiowej nie jest mi nic wiadomo. Twierdzę, że nie było. Łączność telefoniczna istniała w bardzo wąskim zakresie. Słupy telefoniczne stały tylko przy jednej drodze – zwanej „drogą przy której stały słupy telefoniczne”. Przebiegała ona obok koryta rzeki Irtysz. Z pewnością łączyła Pawłodar z Omskiem. Nie była ona oznakowana. Nie miała ani nawierzchni utwardzonej, ani urządzeń drogowych. Była zwykłą drogą gruntową, u nas zwana polną. Bez wykonanej korony drogi.

Życie prywatne rzadko osadzonej ludności opierało się na samowystarczalności. Postawa ta zrodziła się w czasach carskich, a władza sowiecka ją utrwaliła. Licz na siebie i przyrodę. Pieniądz był zbędny, mało przydatny. Liczyła się wymiana towar za towar. Wieśniak nie posiadał dowodu osobistego. Nie mógł odbywać dłuższych podróży – z resztą były mu zbędne. Załatwiał nieliczne swoje sprawy w zarządzie kołchozu lub u miejscowego milicjanta. Nie miał też prawa zmieniać swojego miejsca zamieszkania. Całym jego dokumentem był opieczętowany świstek papieru, *sprawka*, zaświadczenie gdzie jest zatrudniony i gdzie mieszka. Bez tego świstka papieru nikt nie mógł wyruszać w drogę, bo jego brak rodził podejrzenia i stawał się powodem do zatrzymania. Jeżeli ktoś potrzebował udać się w podróż, najpewniejszym środkiem komunikacji były własne nogi. Dopiero potem rozważano „okazję” i wykorzystanie pojazdu zdążającego w kierunku żądanym.

W Karikowce planowano zatrudnić nas na odkrywkowej kopalni. Po stwierdzeniu, że nic z tego nie wyjdzie, oraz ze względu na trudności w zakwaterowaniu nas, nawet w okresie letnim, wywieziono nas wszystkich na północ republiki, na tereny leżące wzdłuż potężnej rzeki Irtysz. Siedem ciężarówek trafiło do kołchozu dużej wsi o nazwie Piatoryżysk odległej od Pawłodaru o 200 km. Jej mieszkańcami byli Słowianie, przeważnie Ukraińcy

przywiezieni w latach 1930-1932 na tych samych, co my zasadach tzn. „spiec priesieleńcy” – przesiedleńcy. Nadzorujący nas enkawudziści kazali wszystkim wyładować się z samochodu i złożyć rzeczy na kupkę. Uczyniliśmy to. Kierowcy samochodów nie mieli wyłączonych silników.auta natychmiast ruszyły, a enkawudziści wskoczyli na stopnie pojazdów i uciekli pozostawiając nas bez słowa na placu wsi. Miejscowa ludność zabrała nas do własnych mieszkań, domów, ziemianek.

W Piatoryżysku, oprócz większości ukraińskiej mieszkali również tzw. Kozacy Linijni<sup>11</sup>. Stopniowa nieufność obu stron ustępowała. Stwierdzili oni, że my nie jesteśmy burżujami, a normalnymi porządnymi ludźmi, którzy widzieli lepsze życie i można się od nas czegoś też nauczyć.

Tylko my – młodzi Polacy mogliśmy im pokazać jak należy w pław przepłynąć na drugą stronę rzeki i z powrotem pokonując szeroki i wartki jej nurt. Pobieraliśmy od nich nauki pracy na roli, jak być pastuchami i jak łowić ryby za pomocą pętli wykonanej z włosia końskiego oraz wielu innych praktycznych sposobów wykorzystania przyrody lub dostosowania się do niej.

W tej miejscowości spotkałem wiele rodzin polskich. Nawet bliskich sąsiadów z Białegostoku. Państwo Kutylowskich, trzy osoby. Powróciły do Polski dwie osoby. Syn Zygmunt, żołnierz Armii Andersa, po zakończeniu działań wojennych, pozostał na zachodzie Europy. Państwo Jarychowic – pięć osób, powróciły cztery. Najmłodsze dziecko, siostrzyczka trzech synów była pierwszą ofiarą syberyjską. Zmarła tydzień po wyładowaniu z transportu kolejowego. Mietek, żołnierz 2. Korpusu, powrócił do kraju inną drogą. Państwo Jurczak – trzy osoby, a powróciły dwie. Syn Tadeusz, ppor. artylerii spoczywa na cmentarzu pod Monte Cassino. Uwieczniony został w książce Melchiora Wańkowicza. Państwo Galewicz – cztery osoby, powróciły trzy. Syn Benek, żołnierz 2. Korpusu pozostał w Europie Zachodniej. Państwo Nietupscy – cztery osoby. Nie wiem ile powróciło. Rozstaliśmy się z nimi w następnym roku. Lewito – cztery osoby. Powróciło, też nie wiem ile, ale pamiętam, że syn Czesław, kolega od piły w lesie, wojnę zakończył zdobywając Ankonę. Po powrocie do ojczyzny działaliśmy razem w Związku Inwalidów Wojennych, kilka lat temu zmarł w Białymstoku. Państwo Prystrom – cztery osoby, powróciły dwie. Rodzice zmarli na Syberii. Syn Alek, żołnierz 2. Korpusu Polskiego, powrócił do kraju inną drogą. Córka Lila, wraz ze mną jechała do Polski tym samym transportem. Szewko – dwie osoby wyjechały i powróciły. Syn Ryszard (urodzony w 1924 r.) miał razem z nami iść w drugiej turze do Armii Andersa. Trafił półtora roku później do armii formowanej nad Oką. W randze pułkownika, doczekał emerytury w Polsce Ludowej. Bakunowicz z Łomży – trzy osoby, wróciły dwie osoby. Syn Tadeusz, kombatant Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, zamieszkał gdzieś w Europie. Państwo Horbu – pięć osób. Rodzice zmarli, dzieci wróciły. Kazimierz, najmłodszy w rodzinie (mój rówieśnik) więzień kazachskiej republiki z tytułu odmowy przyjęcia obywatelstwa sowieckiego, następnie kombatant Wojska Polskiego. Wspólnie przez rok pracowaliśmy

---

<sup>11</sup> Kozacy linijni – Kozacy z Kubania, Słowianie, potomkowie ludzi wyjętych spod prawa, element przestępczy z darowanymi karami, osadzeni przez władze carskie na linii rzek Irtysz i Ob z zadaniem wyłapywania i zatrzymywania więźniów, uciekinierów z katorgi oraz włóczęgów.

na Syberii. Przeżywaliliśmy kłopoty w związku z wspomnianą odmową przyjęcia obywatelstwa sowieckiego. Ja odbywałem karę w łagrze, przy wyrębie lasu, on w więzieniu. Rodzina państwa Mordasewiczów – trzy osoby, które powróciły. Syn wypuszczony z łagru, jako czwarta osoba, dołączył do rodziny na Syberii, następnie dołączył do 2. Korpusu i zamieszkał na obczyźnie. Państwo Stankiewicz – dwie osoby, także powróciły, podobnie jak Wigantów. Państwo Grygorczuk – trzy osoby. Nikt nie powrócił. Matka z Heńkiem, zmarła. Kazimierz, starszy brat Henryka poszedł do 2. Korpusu Polskiego i nikt ze znajomych, ani ja nie mieliśmy o nim żadnych wiadomości. Najdłużej na Syberii przebywałem z państwem Grygorczuk, Puchalskimi i Prystromami. Pani Puchalska, znajoma, sąsiadka, była tam z dwoma małoletnimi synkami i potrzebowała stałego wsparcia. Dzielna, dziarska kobieta pracowała z nami w lesie. Przez dłuższy czas mieszkaliśmy w jednym pomieszczeniu. Wytrwała i przywiozła dzieci do Polski. Natomiast Lila Prystrom została sama. Mieszkała i pracowała wspólnie z nami. Do czasu ciężkiej choroby mojej i Henryka. Ja wytrzymałem, on nie. Zmarł. Z moim rówieśnikiem, Heńkiem poznaliśmy się już na początku w Piatoryżysku latem 1940r. Wysoki, mierzący około dwóch metrów młodzieniec był tam z matką i starszym bratem. Połączył nas wspólny los, a potem nawet zbratał. Pozostaliśmy w końcu sami – dwaj Polacy. Jeden normalnego wzrostu 178 cm, a drugi dryblas, nazywany „balszym Polakom”. Oba imiona Henryk i Waldemar były trudne do wymówienia przez Rosjan. Już w Piatoryżysku zamieszkaliśmy razem, w ziemiance w opuszczonym, domu z oszklonymi oknami na obrzeżu wsi. Lato szybko minęło, względnie bezpiecznie. Głodno było, ale nie chłodno. Posiadaliśmy pewne zapasy własnych ciuchów, ubrania, bieliznę. Rosjanie natomiast mieli kończące się zapasy ziarna pszenicy otrzymane jeszcze w 1938 r. za pracę w kołchozie. W następnych latach nie otrzymali już ani zapłaty, ani garstki ziarna. Widocznie kołchoźnicy źle pracowali. Ciągłe dłużni państwu. Żyli więc z tego, co mieli, o ile jeszcze mieli. Poza tym rosyjska, każda rodzina miała własną krowę i działkę wielkości 300 m<sup>2</sup> pod uprawę ogrodową lub rolną. Między nami trwał handel wymienny. Korzystaliśmy z każdej okazji łowienia ryb. Po tym okresie nastąpiła szybko zima, przynosząc wszystko, co najgorsze. Była to nasza pierwsza syberyjska zima. Brak doświadczenia, odpowiedniego ubrania, obuwia, opału i oczywiście żywności oraz możliwości jej zdobycia. Mróz, głód i chłód. Świat zasypany śniegiem. Goła mroźna pustynia trwająca od połowy października do połowy kwietnia pięć, a nawet sześć miesięcy. Występowały burze śnieżne, trwające kilka dni. Burze śnieżne zasypywały wszystkie domy, rzekę, step. Podczas takiej burzy zamierało życie. Nie było widoczności. Zabudowa niezwała, domy stojące luźno, bez ogrodzenia. Łatwo można było w takiej osadzie stracić orientację, zabłądzić, wyjść w step i zamarznąć. Takie wypadki występowały dość często, bo przecież zwierzęta kołchozowe trzeba było doglądać. Zgromadzony opał szybko się skończył. Składał się z gałęzi, krzaków rosnących na brzegu rzeki oraz badyli piołunu noszonych na plecach z odległych pól kołchozowych. Teraz pozostał znad rzeki tylko urobek gałęzi zasypanych śniegiem. To jedyny ratunek do zagrzania wody ze śniegu. Ten był pod ręką w nieprzebranej ilości. W pogodne, mroźne i chłodne dni, na sankach woziliśmy łożę z tych krzaków. W okresie krytycznym głodu przypomnieliśmy o pozostawionej na skutek



lodem, na środku rzeki, barce. Postanowiliśmy ją spenetrować ciemną nocą. Weszliśmy do zabezpieczonej barki a w niej znaleźliśmy stos otrębów pszennych, bez śladu mąki. Nabraliśmy dwa duże worki i przynieśliśmy do domu. Naparzone z nich poito umożliwiło nam przetrwanie do wiosny.

Przypominam sobie pierwszą wigilię na obczyźnie. Ściany wewnętrzne mieszkania białe od szronu grubości kciuka. Kazimierz [Grygorczuk] siedział na progu drzwi wejściowych i kończył spożycie trzeciej miski poita. Nagle wyprężył się i zwymiotował. Rozpłakał się z żalu, że raz dużo najadł się i musiał zwrócić. Henryk dostawał obstrukcje. Mój żołądek nawet „gwoździe” trawił. Dotrzyliśmy do wiosny. Poszliśmy do pracy w brygadzie na stepie oddalanej od wsi o ponad 20 km. Spaliśmy w barakach przewoźnych, pokotem, razem z kobietami. Było ciepło i raj, gdyż otrzymaliśmy trzy razy dziennie mlecznej zupy „łapszy”<sup>12</sup> i 600 gram niezłego chleba. Oraliśmy ziemię dwuski-bowym pługiem zaprzęgniętym w 6 par ledwo chodzących wołów – przez Rosjan nazywanych bykami. Kondycje nasze były podobne. Tych oraczy, co orzą i zwierząt w zaprzęgu. Ulegała ona jednak stałej poprawie w miarę wzrostu zielonej trawy. Czasem spaliśmy na gołej ziemi, budząc się zasypani śniegiem, w maju. Zazdrościliśmy Kazikowi, który orał ziemię siedząc na traktorze i należał do elity brygady. Spotykaliśmy nasze matki, cichcem przekradające się na sąsiednie pola – rżyska, aby nazbierać nieliczne kłosa pszenicy z ubiegłorocznych zbiorów.

Wiadomość o wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej przyjęliśmy radośnie. Zstąpiła nadzieja, że coś się dzieje w świecie. Masowo, pod miotłę na front zabrano mężczyzn – Rosjan. Brakowało rąk do pracy. Skutki tego dotknęły i Polaków. Władze sowieckie uważały nas zawsze za nieuleczalnych wrogów narodu. Zwiększono wymagania i dyscyplinę. Polską grupę rodzin, w której byli mężczyźni przewieźli na północ o 100 km w bok od Irtyszu. Skończył się step. Teren był porośnięty lasem brzoźowym z domieszką kosiny. Teren o rzadkim zaludnieniu tzw. głusz. Przez cztery lata przebywania w trzech różnych miejscach nie widziałem tam elektryczności, namiastki służby zdrowia, termometru itp. Większych skupisk ludzkich też nie było. Natomiast miałem pod dostatkiem drzewa na opał, miałem ciepło.

Wiosną korzystaliśmy dla zdrowia z soku z brzeziny [sok z brzozy], dobrodziejstwa runa leśnego. Gdybyśmy mieli pętle druciane w lesie moglibyśmy łapać zwierzęta i ptactwo. Kłopot w tym, że nie mieliśmy tego drutu.

Znalazłem się w Tastach, w zupełnej głuszy leśnej. Następnie w osadzie wśród lasów, w kołchozie „Bolszewik”, a następnie w Gryżywce. Pracowałem przy wycince drzewa, na większych obszarach leśnych z dala od osad ludzkich. Latem nocowaliśmy w szałasach, przy ognisku, na ziemi wysłanej gałęziami. Stałym problemem był brak żywności, wody i ubrania. Chodziliśmy w łachmanach, obnażeni i opaleni do pasa. Głowy mieliśmy „ogolone do zera”. Przynosiło to ulgę w starciu z insektami, wszami, które nie opuszczały nas od maja 1940 r. do czerwca 1946 r. Tego problemu nie byliśmy w stanie rozwiązać. Byliśmy bezradni, miejscowa ludność również. Zimą mieszkaliśmy w osadach, lub urządzaliśmy noclegi w domostwach opuszczonych w latach

---

<sup>12</sup> Łapsza to rodzaj zupy zaprawionej mąką lub z dodatkiem makaronu.

głodu. Były tam studnie, woda oraz domy nadające się do remontu, a w nich piece do ogrzewania i palenia. W miejscach takich zakładały swe legowiska stada wilków.

Późną jesienią 1941 r. pracując z dużą grupą Polaków przy wyrębie, spotkaliśmy kilku mężczyzn jadących furmanką, drogą leśną od strony Omska. Od nich uzyskaliśmy informację, że formowane jest wojsko polskie pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Oni właśnie tam zmierzali. Wiadomość radosna. W naszej ocenie ich dotarcie do miejsca koncentracji stanowiło utopię. Wśród nich był mój przełożony i dowódca z Białegostoku, druh harcmistrz Ryszard Kaczorowski. Doszedł. Walczył we Włoszech i został nawet prezydentem Polski. Po dwóch miesiącach władze sowieckie umożliwiły Polakom starszych roczników (sprzed 1924 r.) zgłoszenie się do 2. Korpusu Armii Polskiej. My (młodszy) mieliśmy iść w drugim rzucie. Nie doszło do tego z różnych względów. Były to najpierw względy atmosferyczne, później polityczne i inne. Nadzór nad nami zelżał. W dalekich ośrodkach [obwodowych] powstawały ogniska organizacji polskich. Pomoc świadczona Polakom była niewystarczająca, ale była. Określiłbym tę pomoc jako bardzo nikłą, ale wielką z innego punktu widzenia. Umacniała w nas wiarę powrotu i przetrwania.

Byłem oddalony od tych ośrodków, ale pomoc dotarła i do mnie. Otrzymałem do użytku własnego angielską bluzę wojskową, obszerny płaszcz marynarski z grubego, mocnego i ciepłego sukna. Służył mi jako okrycie i przykrycie, kołdra przez cały czas pobytu. Wojskowe mocne buty – kamasze, które oglądała miejscowa ludność. Orzeciono, że wyroby są wspaniałe. Nie do zdarcia. Nie do znoszenia.

Spożywałem odrobinę otrzymanej żywności, zauważyłem, że jestem obserwowany przez dobrą znajomą – Rosjankę (radną władz wojewódzkich). Raptem odwróciła się zmieszana. Zapytałem o co jej chodzi. Nalegałem, aby odpowiedziała. Powiedziała więc: „Wy Polacy to udiewiteliński naród<sup>13</sup>, jak to jest? Polski nie ma, nie ma rządu. Kraj zajęty jest przez Niemców. Wy rozrzucony jesteście gdzieś na cudzej ziemi. A jednak ktoś o was się martwi, myśli i nawet znaleźli was tu na tym odludziu. A u nas – jesteście na własnej ziemi...” I dalej już nie dokończyła, ale sądzić należy, że nikt się nie martwił, mimo, że był rząd. Jej siostra ciągle była innego zdania o Polsce. W przeprowadzonej z nią rozmowie, nie przekonałem jej. Twierdziła wciąż, że Polacy biednie żyli. Na dowód tego, co powiedziała, odczytała mi z podręcznika szkolnego, że w Polsce, w związku z niedostatkiem do chleba dorzucają ziemiaki. Odpowiedziałem złośliwie – bo je mają. A co ty masz? Nie byłem pewien czy zrozumiała.

A zwycięski żołnierz sowiecki też wykonywał dobrą robotę zmuszającą do różnych rozmyślań. Sam zobaczył kawał innej Europy, a to co przesyłał w paczkach lub przewoził w bagażach zmuszało do myślenia i oceny okolicznej ludność.

Po odejściu wielu kolegów do Korpusu Polskich Sił Zbrojnych, pozostała nas garstka starców i podrostków, którzy szybko dojrzewali i nieźle zdawali egzamin życiowy. Zdobyliśmy doświadczenie w surowych i prymitywnych

---

<sup>13</sup> Tł. z jęz. ros.: Wy Polacy jesteście dziwnym narodem.

warunkach. Poznaliśmy zasady życia i sposoby dostosowania się do nich. To było konieczne. Z Heńkiem Gygorczukiem zostaliśmy sami, a z nami jeszcze dwie rodziny. Z własnej inicjatywy osiedliliśmy się w „Bolszewiku”, a następnie w Gryżywce. Przyswoiliśmy umiejętność obróbki drzewa brzoźowego na koła do wozów i płozy do sań. Staliśmy się potrzebni, przydatni. Miało to swoje plusy i minusy.

Proces obróbki drzewa na koła i płozy polegał na tym, że w pierwszym okresie wybieraliśmy odpowiednie drzewa. Ścinaliśmy je i zwoziliśmy je do warsztatu w osadzie. Drugi etap stanowiła obróbka surowca, prażenie dyli całą noc w gorącej parze w bani. Następnie gięcie drewna i jego zabezpieczenie przed zniszczeniem. Korzystając z okazji, mogliśmy codziennie, gdy przebywaliśmy w osadzie, kąpać się. Dezynfekowaliśmy w gorącej parze ubrania, likwidując insekty. By ratować się przed głodem i przetrwać zmuszeni byliśmy do ryzykownych działań.

Między innymi, kradliśmy własne wyroby z drzewa, materiał z lasu opałowego, budulec. Podbieraliśmy z kołchozu ziarno przygotowane do wywozu na kontyngent państwu, ziemniaki z kopców, nawet podczas surowej zimy.

Nie jestem pewien czy współcześni rodacy rozumieją, to o czym mówię i czy dobrze rozumieją. Nie mieliśmy wyboru. Byliśmy w sytuacji, w której mogliśmy głodować i zginąć, tracąc stopniowo zdrowie lub... ratować się. Wybraliśmy ratunek, często ryzykowny. Bo metody zastosowane przy kradzieży często były bardzo niebezpieczne, jednak przemyślane. Na przykład odkrycie kopca z ziemniakami zimą to trzeba było wykonać nocą, w okresie śnieżycy, burzy śnieżnej. Zatem ryzyko nie dotarcia do kopca lub ryzyko zabłądzenia z powrotem było ogromne. Burza śnieżna z miejsca zasypywała ślady złodziejstwa. Podobny był scenariusz kradzieży zboża. Trzeba było przemyśleć, ryzykować i zrobić. A gdy nawet kradzież się udała, zabrało się tę żywność, to trzeba było dużo umiejętności, by to schować, przerobić, ugotować. W lesie, na wyrębie można było łatwiej spożyć, a nawet zlikwidować zapach przygotowanego jadła (zapach mógł nas zdradzić). Wypożyczenie żarna, celem zmielenia ziarna, było niebezpieczne. Dlatego też tłukliśmy pszenicę, żeby ugotować kaszę.

W wielu nieszczęsnych sytuacjach, towarzyszyło nam szczęście. Po pierwsze – zachowałem życie. Chorowałem w 1944 r. na obustronne zapalenie płuc i tyfus. Przeleżałem na drewnianych narach wysłanych słomą długą syberyjską zimę. Gdy doszedłem do przytomności, opadłem z sił. Posadzono mnie na narach. Przestraszyłem się wówczas widoku swoich kolan. Były niesamowicie duże. Myliłem się, nie były duże, to nogi tak wyschły. Po okrzepnięciu uczyłem się chodzić. Z choroby wyszedłem dzięki odziedziczonym po rodzicach, zdrowiu tężyznie i genom. Z drugiej choroby, z tyfusu wyszedłem dzięki Katii Debry-Gruzince. Była to lekarka, która przebywała na Syberii z takich samych powodów i na podobnych warunkach jak ja.

Zagnano nas z jakiegoś powodu, chyba politycznego, do miejscowego klubu. Po zakończeniu zebrania zorganizowano tańce. Panował tam zwyczaj, że pary mieszane tańczyły wyłącznie Kozaczka. Polki, walce, krakowiaki – tańczyły wyłącznie kobiety. Przyglądaliśmy się tej zabawie, chochlik jednak podkusił mnie abym wziął udział w tańcu. Ruszyłem i poprosiłem klasycznym

polskim ukłonem wyróżniającą się brunetkę. Ja również byłem całkowitym brunetem. Przyjęła zaproszenie. Tańczyliśmy sami na sali i chyba ładnie. Odprowadzając na miejsce partnerkę, usłyszałem radę Polaków – „Waldek, bachnij w mankiet”. Uczyniłem tak. Kłaniając pocałowałem w rękę. Zyskałem w niej niezawodnego przyjaciela. Zawarliśmy bliższą znajomość. Podczas choroby, według informacji Polaków, doglądała mnie bez przerwy, aż wróciłem do sił.

Szczęśliwie wyszedłem w 1946 r. z bardzo niebezpiecznej sytuacji, oczekując na przekroczenie granicy polsko-sowieckiej. Zaobserwowaliśmy wówczas wiele złośliwych, prowokacyjnych wystąpień upojonych zwycięskich żołnierzy sowieckich. Wykrzykiwali oni: „Przez kogo umieszczona i co to za »kurica« została powieszona na sowieckich wagonach?”, a chodziło o orła bez korony. Nie podobała się jednemu z żołnierzy moja odpowiedź. Szukał zwady. A gdy nie zdołałem jej uniknąć, zaatakował mnie. Działo się to na oczach zdziwionych rosyjskich żołnierzy, opartych o drzwi wagonu, stojącego po sąsiedzku pociągu wojskowego. Broniłem się. Ze starcia żołnierz wyszedł z zakrwawioną twarzą. Żołnierze pilnujący sąsiedniego pociągu rozdzielili nas, prosząc starszego sierżanta o uspokojenie się. Widząc mnie bezradnie stojącego krzyczeli: „Skariej uchadij ot sjuda”<sup>14</sup>!. Uciekłem, chowając się w ostatniej chwili w pustych wagonach transportów towarowych. Patrole straży granicznej i wojskowej cały dzień przeszukiwały kolejno wagony polskiego pociągu oraz teren stacji. Szukano Polaka w szerokiej czerkieskiej papasze. Od razu ją wyrzuciłem. Następnego dnia transport z Polakami ruszył na przejście graniczne, przy moście na rzece Bug. Okrutny i długi był to moment nie tylko mnie. Przeżyłem. Widziałem jak podczas kontroli granicznej zostali wyprowadzeni pod konwojem dwaj mężczyźni, Irańczyk i Rumun, których staraliśmy się przemycić z Syberii do Polski. Po przejechaniu granicy, na pierwszym postoju, na małej stacji skakałem radośnie w górę sądząc, że niebezpieczeństwa się skończyły i złowrogich mundurów oglądać nie będę. Prawie natychmiast zrozumiałem, że się pomyliłem. Było ich wszędzie pełno i wszędzie się panoszyli.

Pociąg z Sybirakami skierowany został do Wrocławia. Grupę Białostoczan odłączono w Siedlcach i przez Małkinę jechaliśmy do domu. Popołudniu, w godzinach pięknych słonecznych, w pogodny dzień 5 czerwca oczekiwaliśmy na wolny tor do Białegostoku. Kolejarze musieli przed nami przepuścić pociąg osobowy i dwa transporty wojskowe. Z niecierpliwością oczekiwałem na dalszą jazdę spacerując po peronie, odnawiając wspomnienia widoków ziemi ojczystej. Po stacji spacerował również strażnik kolejowy. Niedaleko peronu, z boku budynku stacji, między torowiskiem stał młodzieniec oparty o rower. Rozmawiał z dziewczyną. Nadjechał od strony Warszawy pociąg towarowy z wojskiem sowieckim. Stał czekając na przejazd pociągu osobowego zmierzającego do stolicy. Z transportu wysiadło dużo żołnierzy. Wystawiono z pociągu uzbrojone warty. Raptem, jeden z żołnierzy, na oczach nas wszystkich i własnej warty odebrał młodzieńcowi rower i niósł do wagonu swego transportu. Bez żadnej reakcji ze strony sowieckiej. Pełniący służbę strażnik kolejowy kilkakrotnie wezwał złodzieja do zatrzymania się. Gdy ten nie usłuchał, oddał strzał

<sup>14</sup> Tł. z jęz. ros.: Szybko uciekaj stąd!

ostrzegawczy. Gdy to nie poskutkowało, strzelił trafiając złodzieja w tył głowy. Zastrzelony upadał na miejscu. W miejscu, gdzie leżał zabity zgromadziła się duża grupa żołnierzy z transportu. Pokonując obawy podszedłem do grupy, usłyszałem spokojną decyzję (chyba dowódcy transportu). Kazał zabrać zabitego żołnierza do wagonu. Rower polecił zwrócić właścicielowi. Strażnikowi zjadliwe życzył celnego strzelania również do swoich. Strzał był rzeczywiście doskonały. Widziałem zabitego żołnierza. Miał ranę wlotową z tyłu, u nasady głowy z szyją. Miejsca wylotu kuli nie widziałem. Na stację w Białymstoku przyjechaliśmy wieczorem. Był ciemno. Zdecydowałem się natychmiast samotnie iść torami na ulicę Poleską, do domu. Chciałem dokonać rozpoznania. Po kilku krokach zatrzymał mnie wartownik, uzbrojony żołnierz sowiecki i nie pozwolił iść dalej, nawet na stację kolejową. Na torach stało wiele transportów wojska. Rano tory stacji były już puste.

Powrócę jednak do okresu przebywania na Syberii. Pokonałem 280 km drogi, w tym 140 km ucieczki przed niebezpieczeństwem. Przebyłem w jednym dniu 80 kilometrów przez pustą, śnieżną przestrzeń. Nie jadłem. Pogoda mi nie sprzyjała. Celem tej ucieczki była obrona przed głodem i jego konsekwencjami. Zatem musiałem przedostać się na drugą stronę rzeki Irtysz, której pokrywa lodowa mogła rozstąpić się pod moimi stopami. Nie wolno było pozostać na tej stronie, przejście też było bardzo niebezpieczne. Zdecydowałem się przejść na drugi brzeg. Byłem bardzo wycieńczony drogą i głodem. Był ciemno. Chwylił przymrozek. Na szczęście, chwycił przymrozek i skuł roztopioną przestrzeń wody między lodem a brzegiem. Pozwoliło to mi wejść na pokrywą lodową rzeki. Lód pękał w koło pod ciśnieniem wody, z hukiem armatnim. Tej przygody nigdy nie zapomnę. Mimo strachu, obserwując wszystko dookoła, stopniowo przebyłem szerokość około 3 km rzeki. Przy drugim brzegu, równie niepewnie przymarzniętym, znalazłem trzy długie konary i gałęzie postawione przez ludność osady. Stanowiły rodzaj kładki. Osadnicy tej osady przyjęli mnie, przenocowali. Trochę podsuszyłem odzież i szczęśliwy ruszyłem do swoich w lesie. Pokonałem jeszcze około 60 km i doszedłem. W ostatnim okresie pobytu na Syberii, już po zakończeniu wojny, zamieszkałem w dużej osadzie nad Irtyszem, o nazwie Pryirtyszewsk – centrali sowchozu. Mieściła się tam nawet komenda wojskowa, poczta, połączenie telefoniczne, własna wytwórnia elektryczności, szkoła, a nawet szpital, klub, droga Stałbawaja – droga główna, kilka domów murowanych z cegły itp.

Pracowałem w szkole jako robotnik fizyczny. Dobrze pracowałem, ponieważ były lepsze warunki pracy i życia. Miałem z tego oficjalne i nieoficjalne korzyści. Dostarczałem z lasu odległego o 40-50 km własnoręcznie ścięte drzewo do szkoły. Nazwoziłem go tyle, że nagromadziły się duże zapasy. Władze miejscowe także korzystały z zapasów szkolnych. Byłem szanowany, obserwowany, a nawet lubiany w środowisku. Pewnego dnia komendant, kapitan, ranny, uczestnik II wojny światowej, Rosjanin wezwał mnie do siebie i zapytał czy umiem wyprodukować samogon. Zaryzykowałem i odpowiedziałem, że tak. Zlecił mi produkcję, dając pół worka pszenicy i pismo zezwalające na jej przemiał. Zlecenie wykonałem po kryjomu, możliwie najuczciwiej. Rosjanin przyjął wyrób z zadowoleniem. Zapytany, czemu mi zlecił to zadanie, niedoświadczonemu Polakowi, a nie np. Irańczykowi, czy Grekowi, odpowiedział – „A komu miałem zlecić? Polacy, jesteście takim narodem, że nawet jak dostaniecie w »żopu«, nie zdradzicie”. Starłem się nie wchodzić mu

w drogę. Żona jego była nauczycielką w szkole. Czułem jego stałe i dyskretne wsparcie. Gdy powstały kłopoty, chciałem rozwiązać je sam. Komendant nie pozwolił na to i dał mi dwóch uzbrojonych żołnierzy. Zwózkę drzewa dokonywałem przejeżdżając 2 lub 3 razy tygodniowo przejeżdżając przez Auł(wioskę kirgiską). Mieszkańcy przyzwyczaili się do moich przejazdów. Pewnego dnia przejeżdżając przez wieś zostałem poproszony do domu i przyjęty skromnym poczęstunkiem przez dwie Kirgizki – krasnoarmiejki (ich mężowie byli na froncie), mieszkające samotnie w kolchozie z dzieckiem. Chciały potajemnie uciec z obozu i wybrały mnie do pomocy. Omówiliśmy szczegóły akcji i moim zdaniem wykonaliśmy ją dyskretnie. Jednak nie udało się. Mimo zmiany drogi, kierunku jazdy, dogonili nas dwoma furmankami konnymi pełnymi ludzi. Zbili Kirgizki, chociaż z siekierą w rękę bronilem ich i siebie. Załadowali siłą niewiasty na furmanki i powieźli z powrotem do wsi. Ludzie z drugiej furmanki poradzili mi uciekać. Moją furmankę z zaprzęgiem zabrali i zarekwirowali. Zostałem z małym dzieckiem, na stepie. Na szczęście z siekierą w rękę i na nieszczęście z małą dziewczynką. Wsadziłem ją na plecy i powędrowałem w kierunku domu. Zostawiłem ją po drodze Kirgizowi, z którym utrzymywałem stałą i krzepką przyjaźń. Kirgiz, jeżeli nazwał Cię „dróżko”, a rzadko to czynił, można było mu zaufać. W centrali musiałem wyjaśnić przyczynę utraty zaprzęgu. Dziwili się, że jestem cały nie pobity. Do odbioru otrzymałem dwóch zbrojnych. Zabrałem zaprzęg.

Wiosną 1946 r. dotarła do nas wiadomość, że niedługo wrócimy do ojczyzny. Nastąpiło to 30 kwietnia 1946r. Na furmankach zaprzęzonych w woły wszystkie polskie rodziny opuściły radośnie Pryirtyszysk. Żegnane były ładnie przez odświętnie ubranych, licznych znajomych i przyjaciół – Rosjan, szczególnie młodego pokolenia. Powrotna droga była długa odbywała się z licznymi przygodami.

Już na samym początku, na przystani, w ośrodku powiatowym, z powodu przeciążenia nie podpłynął do przystani statek pasażerski, jednak władze rejonu kazały nam zgromadzić się na przystani. Widziałem jak przewodniczący rejonu strzałami z pistoletu, nakazał zawrócić statkowi i zawiązać do przystani. Zabrali nas. Załadowali. Przy okazji poznałem moc władzy radzieckiej. Zawieźli nas do Pawłodaru, abyśmy dalszą podróż kontynuowali koleją. Tutaj spotkał mnie następny pech. Na transport kolejowy oczekiwaliśmy zgromadzeni na pustym dużym placu. W przyległym budynku, w korytarzu ulokowały się rodziny z małymi dziećmi. Odwiedziła mnie w tym czasie dobra znajoma, przyjaciółka z Pryirtyszyska. Pochodziła z rodziny mieszanej, matki Polki, ojca Rosjanina, nazywała się Aleksandra Reśniańska. Jej ojciec – kierowca jechał do Pawłodaru i zabrała się z nim. Wieczorem, po odprowadzeniu Aleksandry, usłyszałem krzyki na placu. Jakiś człowiek, pijany ponoć, krzywdził rodziny zamieszkałe w korytarzu jednego z domów. Udałem się na miejsce, obezwładniłem go. Pijak ryczał, stał w ciemnościach z rozstawionymi rękoma. Złapałem go po omacku w pól i unieszkodliwiłem ręce. Ani razu go nie uderzyłem. Gdy wynieśliśmy go na zewnątrz miał pokrwawioną twarz. Patrol milicji przybył na miejsce, gdy już wychodziłem.

Moje próby udowodnienia, że go nie uderzyłem nie miały sensu, nie odniosły skutku. Aresztowali mnie trzymając za ręce, prowadząc przez tłum Polaków. Raptem poczułem mocne uderzenie w prawą rękę, przy ramieniu. Przy tym nie odczułem uścisku lewej ręki, była wolna. Natychmiast uwalniając

drugą, uciekłem z tłumu. Ci, którzy mnie gonili mieli problem, by się wydostać[z tłumu]. Siedziałem w krzakach całą noc, z duszą na ramieniu przeżywałem trudne chwile. Konsekwencją tego stanu było wyeliminowanie mnie z pociągu podstawionego na wyjazd do Polski. Ostrożnie wślizgnąłem się do pociągu i szczęśliwie ruszyłem do Polski. Całkowitą równowagę odzyskałem dopiero po wyruszeniu z Omska. Po drodze, przy rampach towarowych widziałem masę zniszczonego sprzętu, m.in. czołgi obu walczących armii. Mijaliśmy grupy jeńców, Niemców w mundurach pracujących przy torowiskach, czy odbudowie mostów. Nie czułem oznak litości do nich. Oburzony byłem natomiast, gdy jeńcom wysypywano zaschnięte, zakwitłe kawałki chleba. Zbierali je w pośpiechu, zabezpieczając w ziemi, pod kamieniami, natychmiast gdy ogryzek upadł.

W czasie drogi otrzymywaliśmy pewne wsparcie żywnościowe z polskich placówek, m.in. w Moskwie i kilku innych miejscach. Pod Smoleńskiem, na jego wschodniej stronie na polach pod lasem widziałem masę zniszczonego, rozstawionego sprzętu wojskowego z pola odbywanych walk. A był to przecież 1946 r. Stacje były zapchane transportami wojskowymi. Tyle tego wojska było na froncie, a ile pozostało w Europie wschodniej, ile w ziemi...? Autorzy II wojny światowej, ci co ją wywołali, przynosząc nieszczęścia narodom świata sami nie ponieśli sami jej konsekwencji. Były to olbrzymie straty. Historia wojen udowadnia, że sprawcy wojen, władcy świata, królowie, cesarze decydują o ich wywołaniu, ale konsekwencje ponoszą zawsze ludzie prości, żołnierze, odnosząc rany, tracąc życie.

*Relację opracował Paweł Kalisz (Muzeum Pamięci Sybiru)*